

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Wieczór niedzielny.

Opuszciliśmy głowy,
Kwiatki już drzemią,
Wieczorek różowy
Pieści się z ziemią:
Słońce nim wypłynię
Za chmurą scianę,
Złotem wprzód obwinie
Strzechy słomiane.
Błyszcza ognie z chatek,
Kraży lud w bieli,
Taki jest ostatek
Świętej niedzieli.

Powracają trzody...
Dzielne jej harce!
Pasterz siwobrody
Gra na fajarce:
Polny konik brzęczy
W podskoku żywym,
A niewiasta jęczy,
Padłszy pod krzyżem.
Ej, jak cierpi srodze,
Ludzie widzieli;
Bolesny niebodge
Wieczór niedzielny;

Skrzypek podchmielony
Na taniec zowie,
Grzmia w kapliczce dzwony
Po czyjejs głośnie...
Dziś mnie, jutro tobie,
Janku nieboże!
Dziś hulaleś sobie,
Sprzedawszy zboże,
A wieczorem czeka
Na mary wzięli....

Niewie, kto doczeka
Przyszłej niedzieli.



Król i wójt.

Powieść z lat dawnych.

przez
Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

Stała ona trochę na uboczu, otoczona sadem owocowym, mając z prawej strony ogromną pa-siekę ogrodzoną płotem jałowcowym.

Ogromna słomiana strzecha okrywała ten najwydatniejszy we wsi budynek, gromady wró-bli ćwierkały pod nią, jaskółki pozakładały sobie tutaj liczne gniazda; kręciły się one w około z radosnem szebisotem.

Zdawało się, że ta sędziwa strzecha, jak organki czarodziejskie gra i śpiewa, tak się w ni-j pod wieczór liczne rozśpiewało ptactwo.

Na powitanie przybyłych wyszedł z chaty człowiek siwy, pochylony, w białej lnianej sier-międzie i poklonił się, mówiąc:

— Gość w dom, Bóg w dom!

Barylka głośno oznajmił mu, że dostojnych gości ma przyjąć pod swoją strzechą, żeby izby dał ze dwie swobodne.

— Dostojnych gości... powtórzył soltys! — ano niechże im się przyjrze!

Podszedł do przebranego Łokietka, podniósł nań swoje stare oczy i nagle rozłożył ręce, ukląkł, głowę schylił i zawołał głosem wzruszonym:

— A toć to miłościwy nasz król... Nie-chajże dzięki będą Bogu Przedwiecznemu, że po-

zwoilił mi jeszcze raz oglądać majestat naszego ojca i pana.

Stary przypadł do nóg Łokietka, który nagle rzekł:

— Zdora... tyżes sam, coby mnie odwiedził w jaskiniach ojcowskich.

— Jam jest. Chleb i wodę nosiłem do jaskini. Zdawało mi się, że Anieli niebiescy powinni mi zazdrościć tej służby. Wyfrunęliście ztamtąd, jak orzeł i jużem was od tego czasu nie widział.

— A pod Pelczyskami?

— Byłem, ale m do domu zaraz wracać musiał, bo starość nie radość, niemoc mnie chwyciła.

— Wstań Zbora, i prowadź mnie pod strzechę twego domu.

— O, mój najmiłościwszy gospodynie, tć odtąd droższą będzie ta chatyna moja, aniżeli dworce i zamki, boć nie w każdym z nich gościł król.

Łokietek podniósł starego z ziemi i wraz z nim wszedł do chaty.

Gdy przeszli próg, sołtys smutnie spojrział w oblicze monarchy.

— Czy znowu te Niemce górą?

Łokietek musnął wąsa.

— Tym razem zdaje się, że nie! Jam się umyślnie oddalił od swolch, aby w tej wiosce odpocząć.

Mówiąc to, odsłonił siermięgę z piersi. Blyśnął z pod niej jak słońce pancerz stalowy.

Zaledwie Łokietek usiadł za stołem na ławie dębowej, gdy wpadł do izby jeden z jego ludzi i zawołał:

— Hufiec jakiś zbrojny zbliża się od lasu!

— To Jaśko z Góry! — rzekł spokojnie Łokietek.

Zaledwie człek oznajmiający tę wieść wyszedł, gdy wpadł drugi.

— Od łąk i rzeki moc ludu pieszego zbliża się do wsi.

— To sieradzanie — rzekł król — dzielnie się dziś popisywali.

Z kolei wpadł trzeci pacholek.

— Z za wzgórza wypadł hufiec rycerzy i wprost na wieś pędzi.

— To oddział konnicy węgierskiej! Dzielny lud!

Znużone oblicze Łokietka rozjaśniło się.

— Zdążają wszyscy — mówił — pójdziemy na Kraków.

Cicha włoska nagle ożywiła się, jak w ulu zabrzęczało w niej rycerstwo.

Do izby zajętej przez Łokietka wszedł Jaśko z Góry, cały od stóp do głów w stal zakuty.

— Niemce rozbici! — rzekł — przyklekając przed królem.

Za nim weszli inni wodzowie, a każdy rozradowany, że pana w dobrem zdrowiu ogląda.

Jak okiem sięgnąć, lud zbrojny zajął dokoła

wioski łąki, pola i ogrody. Zapłonęły ognie, rozległy się zwycięskie pieśni. Kujawianie, sieradzanie i krakowiacy łączyli się w wesołości ogólnej.

I gdy noc letnia, pogodna roztoczyła nad wioską i okolicą swój płaszczyk gwiazdzisty, taki gwar, radość i wesele zagościły w skromnem ustroniu, jakby w niem nigdy smutku nie było.

Chata sołtysa gorzała od jarzącego światła porozpalanych dokoła niej wesołych ognisk, przy których starszyzna się poumieszczala, nie zważając ani na wiek, ani na urząd.

Letnia pogodna, piękna noc sierpniowa zachęcała do odpoczynku pod gołym niebem, a uczucie odniesionego tryumfu nad najeźdźcami napęniało serca tych rycerzy błogiem upojeniem.

Przed progiem chaty sołtysa stało kilku ludzi z cudzoziemska ubranych i głośno domagali się widzenia z królem.

— Kto jesteście! — zapytał Jaśko z Góry.

— Słudzy wierni króla Władysława, mieszczanie krakowscy.

— Czego żądacie?

— O tem jeno z królem pragniemy mówić. Oznajmijcie panu, że wójt Albert nas przyjął.

Mówili językiem łamanym, zniemczonym.

Niebawem Jaśko oświadczył o przybyściach Łokietkowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



SAULYTE.

Podanie litewskie

Żył sobie raz człowiek biedny. Wszyscy go odumarli, — został sam jeden. Raz zapukała do niego sierota. Przygarnął, odział, dał kawałek chleba. Chowalo się to, rosło, żywilo jak ptasze,

„Co nie sieje, ani orze,
Lecz je karmią moce Boże.“

A ojcu staremu służyła, a dogadzała, jak mogła. Aż urosła w dziewoję. Czy miała krasę, nikt nie pytał. W twarzy świeciły jej oczy, jak słońca; na głowie świeciło złoto w warkaczu; na ustach świecił uśmiech.

Te też nazwano ją „Saulyte“, co znaczy „Słoneczko“.

I pojaśniało z nią w chacie, i bieda uciekla. Powrócił spokój, dostatek.

Jak ta dziewczyna drobna dawała sobie radę, nikt nie wiedział, dość, że dawała. I drugim pomogła i za nich robotę robiła. Gdzie tylko był smutek, gdzie bieda, tam pewnie śpieszyła Saulyte.

— Kochano ją też i znano na całą okolicę.

Aż przyszli na ludzi klęski, głód, choroby, — tylko chatę Saulyte i jej przybranego ojca omijały. Więc też oni dzielili się wszystkim, co mieli; — nawet ostatnią krowinę zabili i ludziom rozdali.

W końcu zabrakło im także: nie było ani okruszka w dzieży, ani zbywającej szmatki w komorze.

Siedzi Saulyte przy starym ojcu i cieszy go piosenką, by zapomnieć o głodzie, aż tu ktoś puka do chaty. Otworzyli, patrzą... starzec taki biedny, taki zgarbiony, jakby sto lat dźwigał na grzbiecie.

Zapłakała Saulyte.

— Nie mam ci co dać, staruszk.

A on drży i prosi:

— Daj choć szmat odzieży.

Okryła go swą chustką i pozostała tylko w płótniance

Lecz staruszek wciąż swoje:

— Koszula spada mi z grzbieta... daj jaką.

— Nie mam, staruszk.

Tedy on jej powiada

— Masz swój warkocz złocisty... podaruj mi go; utkam z niej koszulę... nagość okryję...

Lzy jeszcze rzewniej polały się z oczu Saulyte, bo lubiła swój warkocz złoty.

Ale nie zawahała się: ucięła włosy i, dając staruszkowi to złoto żywe, rzekła:

— Weźcie i niech wam służy.

Wziął staruszek włosy złote, poszedł do komory, gdzie stały krośna tkackie, i zaczął tkąć. A Saulyte przygląda się i dziwi, bo z pod palców snuje mu się tkanina tak błyszcząca, że aż oczy mrużyć trzeba. Skończył staruszek swą pracę, podziękował, otulił się w szatę świeżo utkaną i odszedł.

Saulyte patrzy, patrzy jej ojciec — i widzą, jak złota szata rozwija się, opływa stopy staruszka i niby obłok, unosi go wysoko... wysoko...

Zrozumieli ojciec i córka, że ten staruszek to był anioł, i popadali na kolana, a on ich błogosławił z góry.

Podniosła się Saulyte, patrzy, aż tu jej warkocz znów piękny, długi, opada do ziemi; patrzy aż koń rzy u żłobu i krowa szczypie trawę u płota, a stado gołębi białych jak śnieg spuszcza się i obsiada dach chaty.

Długo, długo potem żyła jeszcze Saulyte na świecie, a ludzie coraz więcej ją kochali, bo, jak od słońca, biło od niej ciepło braterskiej miłości i szły światła promienie.

I dał to Pan Bóg, że kiedy jaka dziewczyna ma w sercu takie wielkie kochanie dla ludzi, iż wszystkoby im oddała, to promień łaski Bożej ciągle w niej gości i na zewnątrz wygląda jej oczyma, śmieje się ustami i ogrzewa, raduje ludzi wokół. To też dziewczynę taką „Saulyte” zowią.

Wygnańcy w lesie.

Powieść z angielskiego

przez R. M.

(Ciąg dalszy.)

Kajman usiłował teraz uderzeniami ogona przewrócić na grzbiet żółwia, ale ten, wiedząc, że to chodzi o życie, rozstawił szeroko żółte swe łapy i trzymał się na nich jak mógł najmocniej. Kajman, zmordowany wysiłkiem, przestawał na parę sekund bić ogonem, a wtedy żółw łykał wyszarpane kawałki jego ogona. Nieszczęsny kajman płakał z bólu owemi łzami, które nie spływają, ale rozlewają się po oku i zdają się zapalać w nich ogień pożerający. Na koniec rozpaczony krokodyl ruszył do rzeki, pociągając za sobą żółwia, który nie mógł mu się oprzeć i obaj zapastnicy zniknęli w głębi wód. Nikt nie dowiedział się nigdy, który z nich zwyciężył, ale to pewna, że żaden z przeciwników nie przeżył długo tej zaciętej walki.

Wylew rzeki. — Trudność dostania żywności. — Przepiawa małp przez strugę.

Podróżni nasi zbliżali się do Amazonki, największej rzeki w Ameryce Południowej. Rzeka, którą płynęli, w tem miejscu dzieli się na wiele, odnóg, a każda z nich osobnem ujściem wpada do Amazonki. Nieraz don Pablo w prawdziwym był kłopotcie, nie wiedząc, którą z tych wielu rzek wybrać, aby najprostszą drogą dostać się do celu podróży. Trudność była tem większą, że nastąpiła pora wylewów i chociaż wody nie zajęły jeszcze całej przestrzemi, ale wyszły już z łożyska i zalaty okoliczne brzegi. Z tego powodu często po dui kilka z rzędu nie można było znaleźć miejsca dogodnego do wylądowania i trzeba było spędzać noce na tratwie. Podróżni powoli posuwali się wśród tej płataniny rzek i rzeczek i nieraz musieli zapuszczać się w głąb bocznych wąskich strumyków, aby wynaleźć grunt suchy, na którym można było wypocząć. Oprócz tego, zapasy żywności uszczuplały się z każdym dniem, a nie było nadziei zdobycia jej, gdyż wszystkie zwierzęta, zamieszkujące brzegi, podczas wylewu kryją się w najodleglejsze okolice i powracają nad rzekę dopiero wtedy, gdy wylew zupełnie ustąpi. Od czasu do czasu wprowadzie udawało się Guapie zabić ze swej sarbakany jaką papugę, albo ptaka ale zdarzało się to rzadko i niewielki ptak starczył na krótko, a to też głód zżaczynał już dawać się we znaki.

Pewnego dnia przed wieczorem podróżni wjechali w głąb strugi, która nie o wiele była szersza od tratwy i wyszli na ląd, aby ugotować nieco kasawy. Zaledwie zakrzętnęli się około rozpalenia ogniska, gdy dało się słyszeć wycie

małp w głębi lasu. Wycie to zdawało się zbliżać z każdą chwilą i Guapo nabrał nadziei, że będzie mógł upolować nieco zwierzyzny.

Po upływie pół godziny, wyjąca bania ukazała się na wierzchołkach drzew nadbrzeżnych, o jakie pięćdziesiąt loków od miejsca, gdzie spoczywali podróżni.

Małpy te były dość duże, z ogonami długimi, chwytymi, pokryte długą gęstą sierścią, nieco podcbrną do niedźwiedziej. Na twarzach miał skórę nagą, czarno niebieskawą, pomarszczoną, która czyniła je podobnymi do starców. Straszliwe wrzaski, jakie wydawały, świadczyły, że były to wyje.

Stado liczyło około pięćdziesięciu sztuk. Przybywszy nad strugę, małpy zatrzymały się na wierzchołku drzewa w niepewności, co mają czynić dalej. Jedna z nich, największa i najsilniejsza, zdawała się być dowódcą całego stada, w którym widać było sporą liczbę samic; odznaczały się one tem, że niosły na plecach małe. Małpiątka otaczały ramionami szyję matek; nogami obejmowały je w górę i końcami ogonków rzymowały się ogonów swych matek, w ten sposób uciepione, trzymały się tak mocno, że najgwałtowniejsze skoki małp z drzewa na drzewo, z gałęzi na gałąź, w czasie dalekich podróży nie przynosiły im żadnej szkody.

Na widok strugi, która zagroziła drogę, małpy się zmieszały; wprawdzie struga była wąska i niezbyt głęboka, i każde inne stworzenie z łatwością ją przebyło w pław, ale małpy te boja się ogromnie wody i zaniechy nie odważyły się umoczyć w niej swych palców. Z tego powodu małpy okazały wielki niepokój, ujrzawszy strugę i zaraz skupiły się na naradę. Stary dowódca zaczął przemawiać coś do towarzyszy grzmiącym głosem, dopomagając sobie ruchami głowy, rąk i ogona. Te małpią mowę porównywały do skrzyknięcia zle posmarowanego wozu i turkotu kół, — nasi podróżni poznali, że porównanie to było bardzo trafne.

Całe zgromadzenie przysłuchiwało się mowie dowódcy w skupieniu i z wielką uwagą. A gdy czasem które z małpiątek krzyknęło, lub wyciągnęło rękę, aby złapać komara, natychmiast matka dawała mu klapsa albo mocniejszym wstrząśnięciem nakazywała spokój i skarcone małpiątka siedziały cicho, jak trusie. Ale zaledwie stary dowódca skończył przemowę, powstał hałas trudny do opisania, i nie czekając kolej, wrzeszczały wszystkie naraz w tak okropny sposób, że zdawało się, jakby z szaloną szybkością toczyły się naraz wszystkie wozy i wszystkie koła całego świata.

Nagle dowódca skinął łapą i wszystkie małpy ucięchły w jednej chwili: każda nieruchoma i milcząca wsłuchiwała się w szacowne słowa dowódcy, który widocznie wykladał im, w jaki sposób mała przebyć strugę — gdyż palcem po-

kazywał wodę, a inne małpy każdy jego prze-

prowadzały oczyma.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Wyrazów 8. Pierwszy wyraz i początkowe litery następnych składają nazwisko króla Sparty. Znaczenie wyrazów:

- 1) L...
- 2) Inaczej równik.
- 3) Miasto w Portugalii.
- 4) Założyciel Niniwy.
- 5) Ptak daw. w Egipcie za Bóstwo uważany.
- 6) Gatunek psów.
- 7) Wykrzyknik.
- 8) Spółgłoska.

II.

Pierwsze bystro do morza wody swoje niesie,
Druga trzecia, w grze pewnej, celem bywa głównym
Czwarta z piątą się mieści w wag i miary zakresie,
Szósty szkodzi w wyścigu, jeśli jest nierównym.
Wszystek tak z cudzoziemska zazwyczaj się zowie,
Ten, kto wiedzy, nauki mając poddostatek,
Dzieli się z nią ogółem w ławtem wdzięcznem słowie,
I nawet do wleśniaczych zanoszą ją chatek.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 8.

I.

Miasto — Kraków — jest niemałe
I nie, jak inne spyszniało
Wiele dziś na — rana — narzekają
I ztąd i z owąd ratunku szukają.
Rzeka — Amur — w Azji płynie
I w Chinach więcej niż u nas słynie.
Jak — sos — w potrawie zobaczymy,
To też zaraz go sprzątniemy.
Prorokem u żydów — Izajasz — słynie,
I im z głowy aż do końca nie zginie.
Imię — Czesława — rzadko je tu słyszę,
To też zaraz sobie je napiszę.
Człowiekowi — krew — jest też potrzebna
I bez niej żyć jest sztuka niepodobna.
— Jamajka — wyspę w Ameryce czytamy
Co bardzo słynie arakami.
— Krasicki — bajkopisarz w polskiej ziemi słynie,
— Warszawa — miasto w Polsce, i nigdy nie zginie.

Rajmund Byczkowski